

„Rhys pojawił się znikąd, a jego mroczna aura kryje w sobie wiele tajemnic, które mogą go albo zniszczyć, albo dać mu siłę. Ale czy jego serce może kogoś pokochać? Viviana jest szansą Rhysa na lepsze jutro; światłem, które przedziera się do jego ciemności. Musicie poznać ich historię, która będzie wielkim zaskoczeniem i doprowadzi Was do łez”.

Monika Skibińska, czytelniczka

„Rhys to mężczyzna, który od pierwszego spotkania zawładnął moim sercem. Sprawił, że inni bohaterowie na zawsze odeszli w zapomnienie!”.

Z książką między regałami

„*Rhys* to powieść, która wciąga od pierwszej strony. Skrywający wiele tajemnic Rhys i uwikłana w sieć kłamstw Viviana – czy związek tych dwojga ma rację bytu? Ta jesień będzie gorąca, a to za sprawą mafijnej powieści Agnieszki Siepielskiej.

Gorąco polecam!”.

Paulina Nowaczyk, *1001 Romansów*

„Dla Rhysa mogłabym nawet zmienić zawód i sprzedawać garnitury. To bohater, którego nie da się wyrzucić z pamięci”.

Paulina Jurga, autorka

Copyright © 2019
Agnieszka Siepielska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Angelika Oleszczuk
Korekta:
Alicja Chybińska
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-140-4

AGNIESZKA SIEPIELSKA

RHYS

SYNOWIE ZEMSTY #1

OŚWIĘCIM 2019

Mojemu kochanemu mężowi Pawłowi i cudownym synom

– Dawidowi, Szymonowi i Kacprowi.

Bo zawsze jesteście.

Kocham Was.

ROZDZIAŁ 1



VIVIANA

Zmęczona, z obolałymi po całym dniu pracy nogami, wysiadam z zatłoczonego autobusu. Skręcam w lewo, w długą ulicę z dwoma rzędami domków jednorodzinnych, co oznacza, że zostaje mi jakieś trzysta metrów do celu. Resztkami sił witam się z sąsiadkami, które podlewiają wysuszone kwiaty. W międzyczasie z obrzydzeniem odklejam od ciała cienki materiał białej bluzki przesiąkniętej potem faceta, który przez niemal całą drogę przylegał do mnie potężnym ciałem. Jest środek lipca, więc nic dziwnego, że na zewnątrz panuje ukrop, lecz po kolejnym dniu sprzedawania garniturów bogatym, wybrednym dupkom jestem padnięta, a półgodzinna jazda autobusem bez klimatyzacji nie była dobrym pomysłem.

Idąc trawnikiem, docieram do brązowego budynku. Otworzywszy drzwi, natychmiast wyczuwam zapach smażonej ryby. Kieruję się do kuchni, gdzie opadam na krzesło znajdujące się przy ścianie, a następnie zsuwam z ramienia pasek torebki, którą stawiam na podłodze. Dysząc jak parowóz, obserwuję małą, siwą kobietę w różowym fartuszkach, krzątającą się przy garnkach.

– Tobie też dzień dobry, wnusiu – oznajmia, nie patrząc w moją stronę i czyniąc tym samym aluzję do niegrzecznego wejścia.

Kiedy nie odpowiadam, zerka przez ramię, a na jej twarzy maluje się zrozumienie. Nalewa do szklanki trochę soku pomarańczowego prosto z lodówki, po czym podaje mi ją. Duszkami

opróżniam całą zawartość, ciesząc się z chłodu rozchodzącego się po moim wnętrzu.

No, teraz mogę się przywitać.

– Dzień dobry, babciu – odpowiadam.

– Opowiadaj, jak było w pracy – mówi, wracając do przygotowywania posiłku.

Codziennie dzieje się to samo, ale to nasz rytuał, zatem zdaję relację. Obecna posada podoba mi się o wiele bardziej niż poprzednie. Otrzymałam ją dzięki babci, ponieważ jedna z jej przyjaciółek jest mamą kierowniczką. W innym przypadku trudno byłoby się dostać do salonu, gdzie wartość wszystkich garniturów, koszul oraz dodatków można oszacować na kwotę przyporządkowaną zwykłego śmiertelnika o zawrót głowy.

– A gdzie jest mama? – pytam.

– Ach! Co może robić nasza księżniczka? Była bardzo zmęczona, więc poszła się położyć. – Babcia kręci głową z rozczarowaniem.

– A co takiego ją dziś zmęczyło? Czytanie gazety, oglądanie telewizji czy psioczenie na dawcę spermy?

– Chyba wszystko naraz. – Wzdycha, a następnie odwraca się do mnie. – Dobra, młoda damo. Zabieraj swój gruby zadek i odśwież się, bo kolacja prawie gotowa.

Jak zawsze to samo. Znając moje kompleksy, czyli za duże piersi oraz nieco zbyt krągły tyłek, babunia nie może się powstrzymać. Zazwyczaj się odgryzam, lecz dzisiaj nie mam siły na przekomarzenie się.

Wstaję, zakładając torebkę na ramię, po czym wchodzę po schodach.

– Cholera jasna! – psioczę, potykając się o jeden ze stopni.

– Viviano Anne Thomson! – krzyczy babcia. – Ile razy, do cholery, mam powtarzać, że w tym domu nie przeklinamy?

Chichocząc, kontynuuję wędrówkę. Mijam drzwi sypialni babci oraz mamy, by w końcu wkroczyć do swojego nudnego królestwa.

stwa. W małym pokoju zmieściło się zaledwie kilka białych mebli – szafa, biurko i łóżko. Ściany pokrywa delikatny odcień szarości, a dopełnienie całości stanowią fioletowe zasłony oraz poduchy, a także purpurowy dywan. Może jestem marną projektantką, ale tak naprawdę tutaj tylko śpię. Skończywszy się rozglądać, sięgam po bieliznę, luźne szorty i top, a następnie idę pod prysznic.

Odświeżona zbiegam po schodach. Już w połowie drogi słyszę narzekanie mamy, która na okrągło wałkuje ten sam temat. Temat mojego ojca. Otóż dwadzieścia trzy lata temu, po jednonocnej przygodzie, mamusia była przekonana, iż spotkała miłość swojego życia. Szybko jednak wyszło na jaw, że facet był żonaty i miał rocznego syna. Kiedy okazało się, że zaszła w ciążę (nie zdziwiłoby mnie, gdyby to było zaplanowane), myślała, że mężczyzna zostawi dla niej rodzinę. Niestety, dawca spermy rzucił kobiecie pieniądze na aborcję, a następnie zniknął. Ale po co usuwać ciążę, skoro można zarobić na niej jeszcze więcej? Tym oto sposobem na konto Emilii Thomson wpływa co miesiąc spora sumka w zamian za milczenie. Nie mam pojęcia, ile dokładnie ona wynosi, lecz nigdy nie zobaczyłam ani centa. Nie wiem, kim jest najdroższy tatuś, i nie chcę wiedzieć. Mam to gdzieś.

Podczas gdy mama od zawsze imprezowała ze znajomymi, trwoniła pieniądze oraz narzekała, że mój ojciec za mało jej płaci, mnie wychowywała babcia. Wszystko, co osiągnęłam i czego się w życiu nauczyłam, zawdzięczam właśnie Helen Thomson. Po ukończeniu szkoły średniej nawet nie marzyłam o studiach, ponieważ staruszka zaczęła wtedy chorować na serce, natomiast leki okazały się bardzo drogie. Nadeszła więc pora, abym się odwdzięczyła. Zaczęłam pracę jako konsultantka telefoniczna, a potem dostałam etat w spożywczym. Oprócz tego wyprowadzałam psy, roznosiłam ulotki, aż w końcu trafiłam do salonu mody męskiej.

Mój dziadek, George Thomson, zniknął z życia babci, zanim się urodziłam. Właściwie to Helen wykopała go z domu po kolejnej, urządzonej przez niego pijackiej awanturze. Podsumowując, mężczyźni to zło. Doświadczenia mamy oraz babci wyraźnie pokazują, iż związki w mojej rodzinie są z góry skazane na porażkę, dlatego nigdy, przenigdy nie zamierzam się w takowy angażować.

– Mogłabyś przestać narzekać i wziąć się wreszcie do roboty, a nie żerować na... – Helen ucina zdanie, kiedy wchodzę do kuchni.

– Witaj, mamó – mruczę, siadając na swoim miejscu, naprzeciw rodzicielki. Ta, najwidoczniej obrażona, wierci się nerwowo, poprawiając farbowane, kasztanowe włosy, obcięte na klasycznego boba.

Nakładam na talerz kawałek ryby oraz sałatkę, dostrzegając wpatrujące się we mnie piwne oczy. Postanawiam poświęcić mamie nieco uwagi i spoglądam na nią wyczekująco. Wiem, czego chce.

– Vivi, potrzebuję pieniędzy.

No proszę, prosto z mostu.

– Ile? – pytam oschle.

– Pięćset dolarów.

Ona ma chyba nierówno pod sufitem.

– Nie mam.

– Jak to? Pracujesz i nie masz pieniędzy?

Z gardła babci wydobywa się dźwięk, jakby chciała coś powiedzieć. Chwyciwszy pomarszczoną dłoń, ściskam ją, żeby Helen się uspokoiła, choć mnie samą szlag trafia.

– Wiesz co? – zwracam się do matki i córki roku. – Zdradzę ci pewien sekret. W każdym gospodarstwie domowym istnieje coś takiego jak rachunki. Ja je płacę, a babcia praktycznie całą swoją emeryturę przeznaczą na leki. Kupujemy też jedzenie – tłumaczę, czekając na reakcję.

Emilia Thomson za każdym razem zachowuje się tak samo, a ta sytuacja nie należy do wyjątków – wydyma różowe usta, wstaje i bez słowa wychodzi. Po chwili słycać jej kroki na schodach, a my w spokoju możemy zabrać się za posiłek.

Po kolacji zmywam naczynia i oglądam z Helen telewizję, po czym zmykam do łóżka. Zasypiając, cieszę się, że ten dzień w babińcu – jak określam nasz dom – dobiegł końca. Mama jak zwykle doprowadziła babcię do takiego stanu, że bez mojej pomocy kobieta nie byłaby w stanie wejść na piętro, choć uparcie powtarza, iż nic jej nie dolega. Przysięgam, że kiedyś wykopię Emilię za drzwi. Matka czy nie, niech spada, by szukać następnej ofiary.

ROZDZIAŁ 2



VIVIANA

Budzę się przed świtem. Po porannej toalecie zakładam dres i zbiegam do pralni nastawić automat. Następnie ogarniam dom, popijając w międzyczasie zaparzoną wcześniej kawę. Staram się zrobić jak najwięcej, zanim wstanie babcia. Ta uparta kobieta dosłownie ze wszystkim chciałaby sobie radzić sama, a potem ledwo oddycha. Oczywiście księżniczka Emilia zamiast pomóc w porządkach, piłuje paznokcie, planując kolejny wypad ze znajomymi. Ach! Brak mi słów na nią.

Widzę, że pranie jest już suche, więc składam ubrania, po czym wkładam je do kosza.

– Vivi! – woła babcia, kiedy kończę robotę. – Viviana!

– Już idę!

Po stromych schodkach z surowego drewna wchodzę wprost do kuchni. Opieram się o framugę i krzyżuję ramiona na klatce piersiowej, przyglądając się małej, wkurzonej Helen, która siedzi przy stole, nerwowo stukając palcami o blat oraz gromiąc mnie wzrokiem.

– Po co jeszcze przed pracą się męczysz, co? – warczy.

– Żeby pewna staruszka nie skręciła sobie karku, wiesz?

– Po pierwsze, czy ja wyglądam na obłożnie chorą? – pyta urażona. – Po drugie, co mam robić przez cały dzień?

– Nie wiem, babciu. Może pooglądaj telewizję albo idź do sąsiadki na kawę?

– Zastanawiam się, skąd bierzesz te mądrości. Chyba z tego dużego tyłka.

Wiedziałam! Musi mi wiecznie dogryzać.

Wpatruję się w nią z udawaną złością. W zielonych oczach, takich samych jak moje, tańczą chochliki. Nic nie poradzę, że nie potrafię się na nią gniewać. Takie już jesteśmy. Dwie samotne baby, które mają swój mały zwariowany świat i nie mogą bez siebie żyć.

– Ty... szkapo jedna – odpowiadam, po czym idę na górę, uśmiechając się pod nosem.

Zakładam bieliznę, spodnie w kolorze chabrowym oraz białą bluzkę. Ten zestaw, wraz z żakietem, jest moim strojem roboczym. Zrobiwszy delikatny makijaż, zjadam wmuszonego przez babcię rogalika i wypijam zaparzoną przez nią kawę. Cmokam Helen w policzek, po czym zbieram się do wyjścia.

W przedpokoju zerkam na swoje odbicie w lustrze, przyglądając sięgające do połowy pleców włosy – jedyną rzecz w wyglądzie, z której jestem dumna. Niektóre kobiety płacą krocie, aby uzyskać taki efekt. Długie pasma są niby brązowe, ale w rzeczywistości można dostrzec kilka odcieni. Kiedy chodziłam do szkoły, babcia była czasem wzywana do dyrektora, który pytał, dlaczego pozwala dziecku robić sobie pasemka.

Wysiadam z autobusu, mijam jedną przecznicę, po czym wchodzę na teren wielkiego centrum handlowego. Nie jest to jeden, zamknięty budynek, lecz wiele mieszczących się obok siebie luksusowych sklepów, a także punktów usługowych oraz gastronomicznych, do których wchodzi się z zewnątrz. Szklanym, wypolerowanym na błysk witrynom przyglądają się już pierwsi potencjalni klienci. Przepych i elegancja aż biją po oczach. Tylko te ceny... Panie, zlituj się.

Mijam jubilera, a następnie kawiarnię, witając się z pracującymi tam dziewczynami skinieniem głowy, aż w końcu przekraczam próg salonu z modą męską. Stukot czarnych szpilek odbija się echem, gdy przechodzę obok stanowisk kasjerek, kolejnych rzędów wieszaków z garniturami oraz koszulami, a także działu z obrzydliwie kosztownymi dodatkami. Kieruję się do ostatnich drzwi i wkraczam do pomieszczenia dla obsługi, gdzie przy małym stole siedzi moja szefowa. Jest sporo starsza od swoich pracownic, lecz upiera się, by mówić jej po imieniu. Na pierwszy rzut oka może się wydawać zołą – wszystko za sprawą zbyt poważnej malującej się na twarzy. Jednak nic bardziej mylnego. Oczywiście potrafi nas czasem ochrzanić, ale prywatnie jest aniołem.

– Dzień dobry, Beth – witam ją z uśmiechem.

Zerknąwszy na mnie znad lusterka, odpowiada, gładząc swoje, i tak już idealnie wymodelowane, blond włosy. Zamieniamy kilka słów, a następnie biorę się do pracy.

Przez dwie godziny nic się nie dzieje. Snuję się po sklepie, poprawiając perfekcyjnie złożone ubrania. Kolejne dwie godziny poświęcam klientowi, a właściwie wybrednemu małżeństwu w średnim wieku. Mężczyzna przymierza chyba dziesięć sprowadzonych prosto z Włoch garniturów, z których żaden mu nie pasuje, choć każdy leży na nim idealnie. W końcu rezygnuje z zakupu. Następnie dwoje młodych ludzi decyduje się przejrzeć spinki do mankietów. Wyjmuję dosłownie wszystkie po kolei, tylko po to, żeby słuchać kolejnej fali narzekań. Przyklejam profesjonalny uśmiech, starając się powstrzymać od złośliwego komentarza, gdy kobieta rzuca kosztowności na szklany blat.

Kiedy nieszczęsna para opuszcza sklep, jestem wykończona psychicznie. Ogarniam bałagan pozostały po wizycie i z radością odkrywam, iż nadeszła pora lunchu.

Informuję koleżanki, że wychodzę na przerwę, po czym idę na zaplecze po torebkę. Nagle podbiega do mnie zdenerwowana, zdyszana Beth.

– Vivi, mam ogromną prośbę.

– Co się stało? – pytam, marszcząc brwi.

– Dziewczyny z magazynu przez przypadek dostarczyły prywatnemu klientowi niewłaściwe zamówienie – tłumaczy, robiąc minę zbitego psa. – Potrzebuję twojej pomocy, ponieważ facet chce, aby ktoś osobiście przywiózł odpowiednie.

– Mam jechać do domu jakiegoś wkurzonego gościa?

Szefowa spogląda na mnie błagalnie, składając dłonie jak do modlitwy.

Oczywiście nie mogą jechać winowajczynie. Pewnie! Trzeba wypchnąć biedną Vivi.

– Jest jeden plus, przyjedzie po ciebie kierowca – oświadcza, zapewne mając nadzieję, że się zgodzę.

– Nie może po prostu zabrać tych garniturów? – Ogarnia mnie panika.

Co, jeśli trafię na jakiegoś furiata i w myśl zasady „klient nasz pan” będę musiała pokornie wysłuchiwać, Bóg wie czego? Albo skończę... Nie, nawet nie chcę o tym myśleć!

– Wymaga, by pracownik przywiózł je osobiście – szepcze zrezygnowana Beth.

– Dobra. – Wzdycham.

Wchodzimy do magazynu. Biorę pięć pokrowców, które wskazuje rozluźniona szefowa.

– To nowy klient, Rhys Miller – oznajmia. – W ramach rekompensaty zaproponuj, żeby wybrał coś z naszej oferty za darmo.

Wychodzę z budynku, mijając zaparkowaną przed wejściem limuzynę, i rozglądam się w poszukiwaniu mojego środka transportu.

Świetnie! Skąd mam wiedzieć, jaki samochód podjedzie?

– Panienko! – woła mężczyzna wysiadający z limuzyny. – Zdaje się, że panienka na mnie czeka. Mam na imię Aleksander i zawiozę panienkę do pana Millera. Proszę pozwolić, że przejmę pokrowce.

Nazwisko klienta się zgadza, zatem podaję ubrania, po czym wsiadam do pojazdu. Szofer proponuje, abym włączyła światło w górnym panelu, co wydaje mi się nieco dziwne. Jednak kiedy ruszamy, rozumiem już, dlaczego powinnam to zrobić. Dookoła zaczynają się unosić przyciemniane szyby i zapada ciemność. Nic nie widzę, więc po omacku szukam włącznika wskazanego przez mężczyznę. Gdy go znajduję, w końcu nastaje jasność.

Siedzę skrępowana, omiatając wzrokiem wnętrze oraz zaciskając dłonie na brzegach obitego kremową skórą siedzenia. Im więcej czasu mija, tym intensywniej się zastanawiam, w co dałam się wrobić. Zdenerwowanie bierze górę i obmyślam wszelkie drastyczne scenariusze. Co, jeśli facet wywiezie mnie na jakieś odludzie, a potem zabije? O Boże, wtedy babcia będzie skazana na moją matkę! Jak ona sobie poradzi?

Po dłużej, okupionej psychiczną udręką drodze, limuzyna wreszcie się zatrzymuje. Gdy kierowca otwiera drzwi, wysiadam, a następnie się rozglądam. Najwyraźniej jestem w jakimś garażu.

– Nareszcie! – wykrzykuje zmierzający w naszym kierunku szatyn o jasnyniebieskich oczach.

Od razu zauważam, że jego garnitur pochodzi z naszej oferty. Podchodzi i natychmiast odbiera od kierowcy przesyłkę, zerka-
jąc na mnie w taki sposób, jakby chciał udzielić reprimendy.

Miałam rację. Przyjechałam zbierać baty.

– Chodź, kochana. Będziesz się tłumaczyć. – Odwraca się, pstryka palcami, po czym rusza przed siebie.

Czy on właśnie pstryknął na mnie palcami?!

Przez chwilę stoję w miejscu zszokowana. Kiedy dochodzę do siebie, mrużę oczy ze złości.

– Dwa razy nie będę powtarzał – mówi, nie zatrzymując się.

Pośpiesznie maszeruję za nim.

Przez mahoniowe drzwi wchodzimy w korytarz, którym skręcamy w lewo, a potem idziemy schodami na górę. Następny długi korytarz prowadzi do takich samych drzwi, przy których

stoi dwóch potężnych mężczyzn w czerni. *To jakaś forteca czy co?* Jeden z nich wpuszcza nas do pomieszczenia przypominającego salon. Zauważam tylko tyle, że ściany są częściowo zdobione ciemnym drewnem, a jedna jest całkowicie przeszklona. Idziemy prosto, wchodzimy po trzech stopniach i znów skręcamy w lewo. W końcu wkraczamy do ogromnej garderoby.

Ze zdumieniem patrzę na sięgające od podłogi do sufitu szafy, zapchane butami oraz rzędami wieszaków z ubraniami. W tym czasie facet wypakowuje garnitury, po czym uważnie im się przygląda.

– Teraz dostarczono odpowiednie. Masz szczęście – mruczy.

– To nie była moja pomyłka. Jeśli można, pójdę już. – Nie wytrzymuję, a temperament Thomsonów daje o sobie znać. Pstrykam palcami, odwracam się i... Och!

Żaden malarz czy rzeźbiarz nie oddałby mu sprawiedliwości. Żadne zdjęcie nie przedstawiłoby go takim, jakim dane jest mi go ujrzeć.

Przede mną stoi wysoki, szczupły, wysportowany mężczyzna, ubrany w czarne spodnie od garnituru oraz wypolerowane na błysk buty tego samego koloru. Biała koszula z podwiniętymi rękawami odkrywa fragment tatuażu.

Wygląda po prostu idealnie – oliwkowa skóra, ciemne włosy, dłuższe u góry, starannie zaczesane na bok, a także dwudniowy zarost, po którym chciałabym przejechać dłońmi. Ale największe wrażenie robią czarne oczy. Wydaje mi się, że za chwilę zostaną przez nie pochłonięta. Kiedy marszczy gęste brwi, przyglądając mi się intensywnie, wygląda jak anioł. Anioł ciemności. Emanuje energią, której nie da się ogarnąć. Mroczny, tajemniczy, a jednocześnie fascynujący. Gdyby tylko chciał, mógłby zawładnąć całym wszechświatem.

Jasna cholera.

– Rhys, jesteś. Właśnie przyjechała do mnie owieczka na pożarcie. Wiesz, że nie lubię...

– Wyjźdź, Xavier – rozkazuje mężczyźnie, który mnie tu przywodził.

Jego głos jest taki... hipnotyzujący. Pomimo iż mówi spokojnie, nie sposób go nie posłuchać.

Facet odchodzi i zostajemy sami.

– Przywiozłam pana garnitury – informuję, gdy udaje mi się odzyskać głos.

– Dziękuję, Viviano. – *Wie, jak mam na imię!* – Twoja plakietka.

– Pokazuje, widząc moje zmieszanie.

No tak.

Wpatrujemy się w siebie przez długi czas.

Co powinnam teraz zrobić? Cholera, jaka niezręczność.

– Dobrze... W takim razie ja już pójdę – oznajmiam. – Szefowa prosiła, by przekazać, że zaprasza do naszego sklepu. W ramach rekompensaty za tę pomyłkę może pan wybrać, cokolwiek zechce.

– Cokolwiek zechcę – powtarza cicho, robiąc dwa kroki w moją stronę.

– Tak. Z ubrań lub dodatków – dodaje szybko.

Mężczyzna powoli mierzy mnie wzrokiem. Po chwili robi to po raz drugi i zatrzymuje się na piersiach.

– Z dodatków – szepcze nieco ochryple, zbliżając się o kolejne dwa kroki.

Dlaczego mi się wydaje, że każde z nas ma na myśli coś innego? Uff, jak tu gorąco!

– Personelu nie ma w ofercie – wypalam.

Natychmiast patrzy mi w oczy. Dopiero teraz uświadamiam sobie znaczenie wypowiedzianych słów.

Co. Ja. Właśnie. Powiedziałam?!

– Zobaczymy, zobaczymy – odpowiada spokojnie.

Czy on potrafi okazywać jakiegokolwiek emocje? Może tak, co nie zmienia faktu, że świetnie je ukrywa.

– Cokolwiek zechcę – powtarza, a pode mną niemal uginają się nogi.

– Ja już pójdę – mówię.

Praktycznie uciekam od tego mężczyzny. Nie wytrzymam dłużej tak dużego napięcia.

ROZDZIAŁ 3



VIVIANA

Gdy szofer widzi, że wybiegam z budynku, otwiera drzwi i pomaga mi wsiąść do limuzyny. Na siedzeniu natychmiast dostrzegam swoją torebkę. Dzięki Bogu, że nie zostawiłam jej w domu Rhysa Millera, bo nie wiem, jak miałabym po nią wrócić.

Kiedy kierowca odwozi mnie do sklepu, Beth od razu zauważa, iż nie czuję się najlepiej. Nie wiem, czy potrafiłabym się skupić na pracy, dlatego cieszę się, gdy szefowa daje mi wolne do końca dnia.

Będąc już w domu, szukam babci. Okazuje się, że ucięła sobie drzemkę, więc idę do swojej sypialni, a następnie padam na łóżko. Jestem dziko rozkojarzona, ponieważ nie mogę pozbyć się wrażenia, jakie wywarł na mnie poznany dzisiaj mężczyzna. Myślę o nim bardzo długo, jednak w końcu wraca mi rozsądek. Przypominam sobie, że nie potrzebuję żadnego faceta w swoim zwyczajnym, poukładanym życiu.

Nadchodzi jedyna wolna w tym miesiącu sobota. Wstaję, ogarniam się, zjadam śniadanie, a potem robię zakupy spożywcze. Kiedy rozpakowuję torby, do kuchni wchodzi moja rodzicielka. Staje obok i zaczyna przeglądać produkty.

– Nie kupiłaś niczego ciekawego – mówi z kpiną.

Niewdzięczny babsztyl.

– Zawsze możesz zrobić zakupy za swoje pieniądze i coś ugotować. Chętnie sprawdzimy z babcią twoje umiejętności kulinarne. – Krzywię się na myśl o jakiejś dziwnie pachnącej papce.

– Nie bądź taka pyskata, z matką rozmawiasz – warczy.

Odwracam się, patrząc na nią z niedowierzaniem. Jak w ogóle śmiała to powiedzieć?

Kiedy miałam dziewięć lat i zachorowałam na ospę, wyprowadziła się na dwa tygodnie do znajomej, żeby się nie zarazić. Gdy przychodziłam, aby porozmawiać o moich sukcesach lub problemach była zbyt zajęta planowaniem kolejnego wypadu z przyjaciółmi. Przez całe życie starałam się, by zauważyła we mnie swoją córkę. Dość tego.

– Mylisz się – oznajmiam stanowczo. – Rozmawiam z kobietą, która mnie urodziła, moja prawdziwa mama siedzi w ogrodzie.

– Uważaj gówniario, bo...

– Bo co? – Przerywam. – Wyrzucisz mnie z domu? Nie sądzę. Pamiętaj, że to ja płacę rachunki. – Minął czas, gdy próbowałam nawiązać z nią nic porozumienia.

– Nie bądź taka pewna siebie. Kiedyś ten dom będzie mój.

Co za żmija!

Po pierwsze, jak może być taka bezduszna, by myśleć, co zrobi, gdy babci już nie będzie? Po drugie, nawet nie wie, w jakim jest błędzie.

– Tak, tak. Wtedy mnie wyrzucisz, a potem zamieszkas tu sama – stwierdzam ironicznie.

Po południu siedzimy z Helen w salonie, oglądając kolejny teleturniej. W międzyczasie babunia marudzi, że nie mam znajomych i nigdzie nie wychodzę. To prawda, ale jak mogłabym ją

zostawiać z tą żołą? Zresztą, dzisiaj matka pewnie odwiedzi wszystkie bary oraz kluby w Phoenix.

– Daj spokój, babciu, mam ciebie – odpowiadam nieco urażona.

– No, ja wiecznie żyła nie będę – mruczy.

– Helen Thomson. – Spoglądałam na nią groźnie. – Powinnaś dostać porządnego kopniaka za te bzdury.

– Tylko spróbuj. Oglądałam film karate, więc znam kilka ciosów. – Nie odrywa wzroku od ekranu telewizora.

Kręcę głową, bo już po prostu brakuje mi słów na tę staruszkę.

Nagle rozlega się dzwonek, a następnie słychać, jak nasza księżniczka zbiega po schodach. Proszę, ile ma energii, kiedy znajomi się schodzą.

– Viviana, ktoś do ciebie! – krzyczy niepokieszona.

Zerkamy na siebie z babcią. Wychodzę z salonu, po czym podchodzę do drzwi wejściowych. Gdy je otwieram, jestem w szoku.

– Cześć, pamiętasz mnie? – pyta piękna brunetka o oczach szarych niczym ciemna stal.

Ta dziewczyna była kiedyś moją sąsiadką. Przypominałyśmy takich trochę odludków, lecz, może właśnie dlatego, potrafiłyśmy się dogadać.

Pewnego dnia jej rodzina się wyprowadziła, natomiast kilka lat później zrobiło się o nich bardzo głośno. Okazało się bowiem, że Amelia jako noworodek została porwana, jednak nie przez przyszywanych rodziców. Ci adoptowali ją, dopiero kiedy jako niemowlę trafiła do sierocińca.

– Amelia! – wykrzykuję, uśmiechając się. – Proszę, wejdź! – Otwieram szerzej drzwi, nadal zszokowana, aczkolwiek szczęśliwa, że mogę ją znowu zobaczyć.

– Nie, nie – mówi dziwnie onieśmielona. – Jestem zmęczona. Dosłownie kilka godzin temu wróciłam do kraju i nie zdążyłam się ogarnąć. Wstąpiłam tylko zapytać, czy... Czy umówiłabyś się ze mną na kawę? Pasowałoby ci za tydzień, bo muszę jeszcze załatwić kilka spraw? – Patrzy na mnie wyczekująco.

– Oczywiście, że tak – odpowiadam radośnie.

– Super! Bardzo się cieszę.

Wymieniamy się numerami, po czym Amelia odchodzi. Kiedy zamykam za nią drzwi, dopada mnie pewna myśl.

O matko kochana!

Babcia jest wiedźmą. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w jednej chwili moje życie towarzyskie nie istnieje, a w drugiej jestem zapraszana na kawę przez dawną przyjaciółkę?

Niedziela mija na słodkim lenistwie, początek tygodnia w pracy też upływa spokojnie. Nadchodzi wtorek. Podaję Lucy, naszej kasjerce, ubrania klienta do skasowania i odchodzę uporządkować rzeczy, na które się nie zdecydował.

– Widziałś tego faceta? – szepcze Tia, kolejna współpracownica.

Gdy się ogładam, serce natychmiast zaczyna bić jak oszalałe. Rhys Miller stoi w wejściu pewny siebie, otoczony przez grupę potężnych mężczyzn. Zatapia dłonie w kieszeniach spodni i unosi głowę, a jego czarne oczy są skupione na mnie.

Kiedy rusza z miejsca, nerwowo przetykam ślinę. Odnoszę wrażenie, jakby w moim brzuchu uformował się młynek, który kręci się z nieopisaną prędkością. Im bliżej podchodzi Rhys, tym szybsze stają się obroty. Mam bardzo złe przeczucia co do tej wizyty.

Widząc, że do sklepu wchodzi kolejny klient, wpadam na pewien pomysł.

– Przystojniaczek jest twój. Bierz go, Tia.

– Z przyjemnością – odpowiada uradowana dziewczyna.

Nachalnie wręcz doskakuję do niezłe wyglądającego mężczyzny, czując na plecach wzrok Millera. Po kilku minutach podchodzi do mnie jakiś napakowany facet w czerni i gburowato oświadcza, że jestem proszona do przymierzalni.

Chyba nawet wiem przez kogo.

Grzecznie przeproszam klienta, którego zapoznawałam z ofertą, a następnie w asyście mięśniaka podążam na miękkich nogach we wskazane miejsce.

Wkraczam do strefy z trzema okrągłymi stolikami oraz kremowymi fotelami. Przed jedną z przymierzalni stoi Rhys z Tią.

– Pani już podziękuję, chcę Vivianę – oznajmia beczelnie Miller, nie robiąc sobie nic z tego, iż dziewczyna wygląda, jakby ktoś ją spoliczkował.

Odchodząc, koleżanka obdarza mnie oczywiście nieprzychylnym spojrzeniem.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Miller? – pytam zirytowana jego zachowaniem. Odruchowo marszczę brwi, zastanawiając się, czy pytanie nie zabrzmiało trochę dwuznacznie.

W jego oczach pojawia się dziwny błysk. Otworzywszy drzwi, zaprasza mnie, abym weszła do pomieszczenia. Czarno to widzę, ale klient nasz pan, prawda?

Rhys wchodzi za mną i staje przodem do wielkiego lustra umieszczonego w rogu przymierzalni.

– Chciałbym przymierzyć koszulę – informuje.

Zerkam na wieszaki z ubraniami, które musiała przynieść Tia.

– Jeśli te się panu nie podobają, mogę...

– Chcę, żebyś ty mi je zakładała, Viviano. – Przerzywa.

Choć jego głos, w którym za każdym razem pojawia się lekka chrypka, wzbudza we mnie niewytłumaczalne emocje, skupiam się na tym, co powiedział.

– Słucham? – pytam kompletnie zmieszana.

– Zdejmij moją marynarkę – rozkazuje dziwnie mrocznym głosem.

Na całym ciele czuję gęsią skórkę. Moje prawdziwe „ja” chciałoby krzyknąć, że Bozia dała rączki, jednak zahipnotyzowana część chce przystąpić do działania.

– Panie Miller...

– Wybrałem to jako moją rekompensatę. Zrób to, Viviano – żąda.

Przysięgam, że jutro poproszę Beth o ekstra premię, a także nieprzyznawany u nas do tej pory tytuł pracownika miesiąca.

Podchodzę do niego od tyłu, po czym zsuwam odpiętą już marynarkę, którą następnie wieszam z boku. Staję przed mężczyzną i gapię się niepewnie, a on unosi jedną brew, jakby chciał zapytać: „Jakiś problem?”.

Przelykając gulę formującą się w gardle, prostuję kołnierz. Staję na palcach, by sięgnąć do karku Rhysa, jednak jestem tak roztrzęsiona, że wpadam na niego. Automatycznie łapie mnie za biodra, a ja niemal natychmiast rozpląwam się pod jego dotykiem. Zaciągam się wspaniałym zapachem i spoglądam na jego twarz. Tonę w głębi czarnych oczu, aby po chwili podziwiać piękne, pełne, rozchylone wargi.

Jasna cholera! Kto wyłączył klimatyzację?

Gorąco. Tutaj jest zbyt gorąco.

Kiedy odzyskuję zdolność myślenia, powoli zdejmuję krawat, żeby nie uszkodzić idealnej fryzury Rhysa. Odłożywszy kawałek jedwabiu na ladę, przygotowuję się do najtrudniejszej części zadania. Będę musiała zdjąć koszulę. Próbuję wysunąć ją ze spodni, ponieważ nie mam zamiaru dotykać dolnej części garderoby. Nagle Miller chwyta moje nadgarstki i schyla się, tak, że jego usta znajdują się przy moim uchu.

– Zrób to, Viviano – mruczy zmysłowo, a ja zastanawiam się, czy można umrzeć w wyniku nadmiernego podniecenia. – Nie chcemy zniszczyć materiału, prawda? – Dziwnie otumaniona, od zbyt wielu sprzecznych emocji, posłusznie kiwam głową.

Co się ze mną dzieje, do diabła?!

Drżącymi dłońmi rozpinam pasek, a potem spodnie. Wyjmuję koszulę i, ignorując fakt, że właśnie zauważyłam brzeg białych bokserek, odpinam po kolei guziki, zaczynając od góry, co trwa chyba całą wieczność. Kiedy kończę, mogę jedynie przesuwać wzrokiem po ciele Rhysa.

Ten facet ma sześciopak.

O cholera.

Łapię się na tym, że unoszę rękę, by dotknąć pięknego ciała. W porę się jednak opanowuję, zaciskam dłoń w pięść, a następnie zamykam oczy. Po chwili otwieram je, aby ponownie na niego spojrzeć.

Co ja robię?

Niewiele myśląc, odwracam się i po raz kolejny uciekam.

Od niego oraz swoich niewy tłumaczalnych uczuć.